

*Bestsellerowa powieść z cyklu
o MAJOR KAMIEŃSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA

**ŚMIECH
BOGÓW**



ALEKSANDRA
MARININA
ŚMIECH
BOGÓW

Przełożyła
Aleksandra Stronka

*My nie wygrywamy nigdy. Łudzimy się niekiedy,
że zwycięstwo bliskie, ale to tylko pobłażliwe kpiny bogów.*

Jack London, *Gdy bogowie się śmieją**

* London J., *Dzieła wybrane*, t. 2. *Nowele*. tł. T.J. Dehnel, Warszawa: Iskry, 1957.

R o z d z i a ł 1

Olga opuściła skwarną ulicę, zanurzyła się w chłodnym półmroku klatki schodowej i mimo woli się uśmiechnęła. Prawdę mówiąc, zawsze uśmiechała się tutaj, na stopniach prowadzących do windy. Bo właśnie w tym miejscu nachodziła ją wciąż ta sama myśl: jak to dobrze, że jest miejsce, do którego idzie z radością. Jak to dobrze, że jest na świecie ktoś, z kim w żadnym wypadku się nie pokłóci. Ktoś, kto jej nie oszuka i nie zdradzi. Ktoś, z kim, jak się okazało, nie potrafi się rozstać.

Gdy tylko otworzyła drzwi, zawołała:

– Jesteś w domu?

– Jasne! – Rozległ się głos Pawła. – A ty czemu tak wcześniej?

Olga zrzuciła sandaalki na wysokich szpilkach i boso ruszyła do pokoju, po drodze zdejmując czarną bawełnianą bluzkę i wąską, długą spódnicę.

– Paszka, wiesz, na czym polega kobiece szczęście?

Paweł zajrzał do pokoju i zatrzymał się na progu, przyglądając się Oldze z dobroduszną kpiną.

– Domyślam się.

– Nie domyślasz się. Kobiece szczęście to dobrze dopasowana bielizna. A na czym polega kobiece nieszczęście?

– Pewnie chodzi o niedopasowaną bieliznę. Zgadłem?

– Brawo.

Cisnęła ubranie na fotel i sięgnęła po lekki jedwabny szlafroczek. Paweł jak zwykle się odwrócił, ale nie wyszedł z pokoju. Oboje nie czuli szczególnego skrępowania w swojej obecności, ale zachowywali pozory przyzwoitości.

– Co za idiotyzm! – ciągnęła Olga wesoło, rozbierając się do naga. – Pamiętasz bieliznę, którą kupiliśmy razem w Barcelonie? Wyglądała niesłychanie atrakcyjnie, dzisiaj ją włożyłam, ale się okazało, że koronki są szorstkie do niemożliwości! Zamiast przybierać erotyczne pozy i kuśić swojego ukochanego, wierciłam się i wyczekiwałam sposobności, żeby się podrapać. W efekcie sknociłam dzisiejszą *love story*, musiałam powiedzieć, że rozboleła mnie głowa, i ze wstydem wycofać się z pola seksualnej bitwy. Niech to diabli – szybko obejrzała się w lustrze – teraz mam zaczerwienioną skórę na biodrze, na biuście też. Jak pech, to pech. Nie mogę nosić tego cuda. Na tym właśnie polega kobiece nieszczęście. – Owinęła się w poły szlafrocka i zawiązała pasek w talii. – Gotowe, możesz się odwrócić. Nawiasem mówiąc, wybierałeś się dzisiaj na jakąś imprezę. Odwołano ją?

Paweł podszedł do kanapy i opadł na nią z rozmachem, wysoko unosząc nogi.

– Zostałem dzisiaj porzucony. Moja ślicznotka dostała cynk o niespodziewanym powrocie drogiego małżonka i uznała, że lepiej niepotrzebnie nie ryzykować. Życie jest długie, jeszcze się zabawimy. Słuchaj, chodźmy gdzieś na kolację, dobrze? Rozpiera mnie niewykorzystana wena donzuańska. Poflirtuję przynajmniej z tobą.

Olga ostrożnie dotknęła palcami tych miejsc na biodrach i na biuście, gdzie wciąż jeszcze czuła swędzenie, i pokręciła głową.

– Będzie chyba lepiej, jeśli do jutra nic na siebie nie włożę – powiedziała z wahaniem. – W lodówce jest pełno jedzenia, po co mamy gdzieś iść?

– Brak ci wycucia – mruknął Paweł ze smutkiem. – Ogarnął mnie poryw romantyzmu, a ty zepsułaś całą zabawę.

– Nie marudź, to nie ja zepsułam zabawę, ale bielizna, którą kupiliśmy razem, a zatem odpowiedzialność spada na nas oboje. Jeśli dobrze pamiętam, w tamtym sklepiku to właśnie ty zwróciłeś uwagę na ten komplet, więc teraz masz za swoje. Posuń się, chcę się położyć.

Paweł posunął się na szerokiej kanapie, zwalniając jej miejsce.

– Dobrze, przekonałaś mnie, zostajemy w domu. Lolka, nie zapomniałaś o urodzinach mojej rodzicielki? Nadciąga katastrofa, zostało raptem pięć dni. Co jej podarujemy?

Tak, to problem. Matka Pawła przykładła wagę do prezentów, sama lubiła je robić, długo i starannie obmyślając i wybierając upominek, ale wymagała też podobnego podejścia do siebie. Co roku problem pojawiał się z całą ostrością i był jakoś rozwiązywany, ale za każdym razem stawał się coraz trudniejszy. Nie wolno było się powtarzać. I pod żadnym pozorem uzgadniać prezentu z jubilatką. Prezent musiał być niespodzianką, to nie podlegało dyskusji. Ta zasada obowiązywała w rodzinie Pawła od niepamiętnych czasów.

– Zastanówmy się. – Olga westchnęła, wyciągając się na kanapie. – I wysilmy szare komórki. Suknia wieczorowa?

– Przywieźliśmy jej z Belgii.

– Ach tak, zapomniałam. Wazon na podłogę?

– Z Anglii, na pięćdziesiąte piąte urodziny.

– Słusznie, teraz sobie przypominam. Broszka?

– Też stamtąd.

– Może torebka i rękawiczki z dobrej skóry?

– Ogarnij się, Lolka! Całkiem straciłaś pamięć? Przecież dostała to od nas na ostatnie urodziny.

– Przepraszam – wybąkała, moszcząc się wygodnie koło niego. – Jestem wykończona, morzy mnie sen, zupełnie nie mogę zebrać myśli.

Paweł się podniósł i zaczął ją szarpać za ramiona.

– Nie śpij! Dopiero dziewiąta, jeżeli zaśniesz, to znowu wstaniesz o piątej rano i będziesz się tłuc po mieszkaniu. Otwieraj oczy, bo sprawię ci zimny prysznic. No dalej, Lolka!

Nagle Olga się poderwała, jej oczy jaśniały radością.

– Mam! Pamiętasz, gdy byliśmy w Grecji, widzieliśmy w księgarni ekskluzywne wydanie o Jerozolimie? Olbrzymi foliał, tekst po angielsku i po grecku, mnóstwo ilustracji, w zestawie była nawet lupa, żeby oglądać szczegóły. I przyzwoita cena; jeżeli przeliczyć drachmy na wiadomą walutę, to wychodzi około trzydziestu dolarów. Takiej rzeczy nie wstyd подарować.

– Proponujesz skoczyć po prezent do Aten? – Paweł uśmiechnął się sceptycznie. – Same bilety będą kosztować tyle co dwadzieścia takich prezentów, chociaż, oczywiście, dla kochanej mamusi...

– Osioł. – Olga się roześmiała. – Łarisa jest teraz w Atenach, wraca za dwa dni. Jeżeli uda nam się złapać ją przez telefon, to możesz uważać problem za rozwiązany. W ten sposób bez przeszkód doholujemy rodzinną społeczność do następnych urodzin. Tylko spróbuj powiedzieć, że nie jestem genialna, a palnę cię w ucho.

– Jesteś genialna – odparł Paweł bardzo poważnie, całując jej rękę. – Co ja bym bez ciebie zrobił?

W tym roku matka Pawła kończyła pięćdziesiąt dziewięć lat, na sześćdziesiąte urodziny syn postanowił sprezentować jej wycieczkę do Izraela, gdzie Elena Fiodorowna miała mnóstwo przyjaciół, z którymi od dawna chciała się zobaczyć. Stać ją było na podróż, ale jak to często bywa, wciąż ją odkładała, uznając, że są rzeczy ważniejsze niż odwiedzanie przyjaciół. Praca, mąż, dzieci, wnuczka, letnisko, dwa psy – wszystko to wymagało ustawicznej uwagi i w żadnym razie nie mogło się obejść bez jej udziału. O ile Olga pamiętała, rozmowy o podróży do Izraela toczyły się od jakichś dziesięciu lat. Elena Fiodorowna utrzymywała regularne kontakty telefoniczne ze swoimi przyjaciółmi w Jerozolimie i Tel Awiwie, ale jak dotąd nie wybrała się w podróż. Jeżeli jednak położyć przed nią bilety i paszport z ważną wizą, wtedy sprawa będzie wyglądała całkiem inaczej. Elena Fiodorowna szanowała wysiłki podejmowane dla jej dobra. W tej sytuacji pojechałaby, nawet gdyby nie miała tam zupełnie nic do roboty.

Olga lekko zeskoczyła z kanapy, na której jeszcze dwie minuty wcześniej omal nie zasnęła, i rzuciła się na poszukiwania notesu z numerem telefonu przyjaciółki. Miała szczęście, Łarisa nie rozstawiała się z komórką nawet w łazience, gdzie zastał ją telefon Olgi.

– Pamiętasz, w którym sklepie widziałaś książkę? – zapytała rzeczowo.

– Na głównej ulicy, sklep Patakisa.

– Znajdę – obiecała Łarisa.

– Kiedy przylatujesz?

– W sobotę.

– Odbierzemy cię z Paszą z lotniska. – Odwiesiwszy słuchawkę, Olga westchnęła z ulgą. – No i proszę, problem rozwiązany. A ty się bałeś!

Znowu podeszła do lustra i smutno kręcąc głową, uniosła połę szlafroka, żeby jeszcze raz przyjrzeć się śladom po nieudanej randce.

– No dlaczego mam takiego pecha?! – wyjęczała, przesuwając palcami po podrażnionej skórze.

Paweł też wstał i przeciągnął się z lubością.

– Daj spokój, Lolka, rano będziesz jak nowa. Co ciekawego w pracy?

Olga zrobiła straszną minę i wyciągnęła przed siebie skrzyżowane palce.

– Czeką nas święta w firmie – wycodziła grobowym głosem. – Jedzie do nas rewizor. Jak to się dzisiaj mówi, audytor. Wszyscy się trzęsą ze strachu.

– A ty?

– Ja nie.

– Jesteś przecież zastępczynią głównego księgowego, czyżbyś się nie bała?

– O to właśnie chodzi, Pawłusza, że jestem jego zastępczynią. Tylko on i ja wiemy, że wszystko jest w najlepszym porządku, toteż nie mamy się czego bać. Cała reszta nie zna się na księgowości; wszystkim się wydaje, że kontrola na pewno

coś wykryje. Nawet prezes mocno pobladł na twarzy, z die-
sięć razy dziennie nas zaczepia i pyta, czy jesteśmy przygoto-
wani. W porządku, już się obudziłam. Chodźmy na kolację.

Szybko przygotowała posiłek i nakryła stół. Poruszała
się lekko i zwinnie, więc Paweł bezwiednie zapatrzył się na
jej gibką, atrakcyjną figurę.

– Co zrobimy z urlopem? – zapytał, odsuwając talerz
po jedzeniu i zabierając się do parzenia herbaty. – Mam
wrzesień i kawałek sierpnia.

– A ja odwrotnie, cały sierpień i kawałek września –
odparła Olga. – Wykroimy dwa tygodnie, żeby pojechać
gdzieś razem, a reszta – według własnego uznania. Masz
konkretne propozycje?

– Konkretne nie, ale chciałbym popływać i poleżeć na
piasku, powygrzewać kości.

– Wobec tego Hiszpania odpada, ten kraj obliguje do ak-
tywnego wypoczynku, tam sobie nie poleżysz, plaże są gorsze
niż w Soczi – powiedziała, marszcząc nos. – Do Hiszpanii do-
brze pojechać z kochankiem, gdy we krwi buzuje jeszcze ro-
mantyzm. Wypożyczyć samochód i jeździć z miasta do mia-
sta. To nie dla nas. Jesteśmy już za starzy, potrzebujemy czegoś
spokojniejszego. Może wybierzemy się na południe Francji?

– Czemu nie? – Paweł się ożywił. – Dobra myśl. Pa-
miętasz, jak tam było fajnie? Wiedliśmy cichą, spokojną
egzystencję: hotel – plaża, plaża – hotel. Ty, co prawda,
biegałaś na każdą dyskotekę, mimo że odwoziłem cię od
tego, jak mogłem.

– Ależ, Pawłusza. – Olga się roześmiała. – Wtedy by-
łam znacznie młodsza. Teraz się postarzałam i nie będę
nigdzie biegać, obiecuję.

– To duży nietakt z twojej strony przypominać mi o wieku. Nie zapominaj, że urodziliśmy się tego samego dnia. A ja uważam się za całkiem młodego. Lolka, kto zmywa naczynia zgodnie z grafikiem?

– A jaki dzisiaj dzień, parzysty czy nieparzysty? – zapytała Olga, w skupieniu marszcząc czoło.

– Środa.

– W takim razie ty. – Olga włożyła brudne naczynia do zlewu i nagle z oburzeniem klasnęła w dłonie. – Ach, ty chytrusie! To dlatego proponowałeś, żeby pójść do restauracji! I udawałeś naiwnego, plotłeś o romantycznej wenie, udawałeś, że nie pamiętasz, kto ma dzisiaj zmywać! Paszka, znam cię od urodzenia, nie próbuj mnie nabierać.

Paweł potulnie przewiązał się fartuchem i sięgnął po gąbkę.

– Dobrze – obiecał z westchnieniem. – Nie będę.

Po kolacji obejrzeli francuski film w telewizji, po czym rozeszli się do swoich pokojów.

– Lolka – powiedział na pożegnanie Paweł, całując Olgę w policzek. – Jesteś najlepszą kobietą na świecie. Wszystkie moje laski nie są warte twojego małego paluszka. Kiedyś napiszę traktat o tym, czym jest prawdziwa miłość.

Czym jest prawdziwa miłość?, myślała Olga, powoli zapadając w łagodny, przyjemny sen. – Szczęściarz z Paszki, bo już wie. A ja, głupia, wciąż jeszcze czegoś szukam, wciąż wybieram, przebieram...

*

Nieubłaganie zbliżała się połowa lipca, do ostatecznego terminu uregulowania podatków pozostawało zaledwie

półtora miesiąca, a Czistiakowowi nie udało się jeszcze zebrać potrzebnej sumy. W styczniu dobrowolnie stawiał się w urzędzie skarbowym i złożył deklarację o dochodach w wysokości czterdziestu sześciu tysięcy dolarów. Naliczono mu taki podatek, że nic, tylko się powiesić: cała kwota czterdziestu sześciu tysięcy z niewielkim wyjątkiem wpłynęła od zagranicznych uniwersytetów i wydawnictw na konto walutowe Czistiakowa w Inkombanku, który zwyczajnie stracił licencję i nie wypłacił ani kopiejki ławtowiernym właścicielom oszczędności. Przez całą jesień, zimę i wiosnę Nastia i Aleksiej mocno zaciskali pasa, odmawiając sobie niekiedy nawet najpotrzebniejszych rzeczy. Czistiakow chwycił się każdej propozycji prowadzenia płatnych wykładów. Nastia z kolei, nie mając żadnej możliwości, żeby dorobić, wspierała wspólną sprawę w miarę sił: przerzuciła się na tańsze papierosy i ohydną kawę, która kosztowała znacznie mniej niż jej ulubiony Kapitan Kolumb. Oboje bardzo się starali, a mimo to...

Pierwszego czerwca do potrzebnej sumy brakowało im dziewięćdziesięciu tysięcy rubli, co w przekładzie na powszechny język walutowy oznaczało cztery tysiące dolarów. Skąd wezmą taką sumę starszy oficer z Pietrowki 38 i profesor zatrudniony w instytucji państwowej? Na to pytanie nie było odpowiedzi.

Szykowali się do ostatniego rozpaczliwego zrywu. Dziś pulkownik Gordiejew obiecał udzielić Nastii urlopu od dziesiątego czerwca, więc zdążyła już zadzwonić do wydawnictwa, w którym często dorabiała jako tłumaczka podczas urlopów. Czistiakow też wziął urlop i zamierzał zabrać się do udzielania korepetycji, przygotowując

absolwentów szkół do egzaminów wstępnych z fizyki i matematyki.

– Loszyk, hura! – zawołała Nastia, wpadając do mieszkania. – Pączek mnie puścił!

– Kamień z serca. – Aleksiej westchnął z ulgą. – A dzwoniłaś do wydawnictwa?

– Oczywiście. Obiecano mi, że dziś albo jutro ktoś się odezwie i powie, jaką mają pracę. Byłoby idealnie, gdyby się znalazło coś po francusku, w końcu ten język znam najlepiej. W najgorszym razie wezmę książkę angielską albo włoską. A ty co wskórałeś?

– Na razie nic, ale rozpuściłem wici, poczekamy na wyniki. – Aleksiej wziął od niej torbę i mimo woli stęknął. – Boże, Asiu, co ty tam dźwigasz? Buchnęłaś wagon cegieł z budowy?

– Kupiłam słowniki. Gdy Pączek się ulitował i uwzględnił moją pokorną prośbę o urlop poza obowiązującym grafikiem, pobiegłam jak na skrzydłach do księgarni, żeby obejrzeć nowe wydania różnych przydatnych słowników. No i kupiłam, ma się rozumieć, nie potrafiłam się powstrzymać.

– Drogie? – zapytał Czistiakow podejrzliwie, z hukiem stawiając torbę na podłodze.

– Ależ, Losza... – jęknęła Nastia. – To przecież do pracy.

– Spryciara – powiedział z uśmiechem. – Wykorzystujesz moje miękkie serce. Zjemy kolację czy najpierw weźmiesz prysznic?

– Wezmę prysznic – mruknęła, rozbierając się. – Chociaż wołałabym go nie oglądać.

W tej sprawie Nastia Kamińska miała rację, łazienka rzeczywiście nie cieszyła oka. Rozpoczęty przed rokiem

remont został szybko przerwany w związku z pamiętnym siedemnastym sierpnia*. Jeszcze pół roku później na środku mieszkania piętrzyły się zwały materiałów budowlanych i wykończeniowych, kupionych wcześniej, ale nie wykorzystanych ze względu na brak pieniędzy na dalszy remont, a także na konieczność odkładania każdej kopiejki na podatki. Nastia i Aleksiej kategorycznie odmówili przyjęcia pomocy finansowej od Saszy – brata Nastii, więc ten po paru nieudanych próbach wepchnięcia im pieniędzy przysłał ciężarówkę z robotnikami i wywiózł cały budowlany Mont Blanc za miasto, na swoje lotnisko, nie pytając ich o zgodę. Teraz po mieszkaniu można było poruszać się swobodnie, bez obawy zrzućcenia czegoś albo potknięcia się i rozbicia głowy. Jednakże samo mieszkanie, przygotowane do niedoszłego remontu, robiło przygnębiające wrażenie. Zdarte tapety i skute ze ścian kafelki w łazience budziły smutne skojarzenie z domami przeznaczonymi do rozbioru, z biedą, niechlujstwem i beznadzieją. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że zarówno Nastia, jak i jej mąż przyzwyczaili się w końcu do tego stanu rzeczy i już nie tak gwałtownie reagowali na ową szpetotę, zwłaszcza że zdążyli wyremontować i umeblować kuchnię. Zapraszanie kogokolwiek do takiego zrujnowanego gniazda było, oczywiście, wykluczone, ale to nie stanowiło problemu. Krewni i przyjaciele rozumieją sytuację, można się ich nie krępować – podczas kryzysu wszyscy stracili pieniądze, a dalsi znajomi prawie nie bywają w tym mieszkaniu.

* 17 sierpnia 1998 roku rząd rosyjski podjął decyzję o dewaluacji rubla, co było wynikiem potężnego kryzysu finansowego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Wprawdzie Aleksiej zamierzał udzielać korepetycji, więc pojawią się tutaj uczniowie...

– Loszyk, a jak my tu kogokolwiek wpuścimy? – zapytała Nastia ze smutkiem, wychodząc z łazienki. – Przecież to wstyd. Jesteś profesorem, honorowym członkiem akademii, a mieszkasz w koszmarnych warunkach.

– Nie wpadaj w kompleksy – odparł Aleksiej beztrąsko. – Najważniejsze to się nie wstydzić. Gdy człowiek się wstydzi, inni od razu to zauważają i zaczynają się przyglądać: co w nim takiego niewłaściwego, występnego, że się tego wstydzi? Będę się zachowywał jak król na imieninach i niefrasobliwym tonem wszystkim wyjaśnię, że trwa właśnie remont. To oczywiste, że podczas remontu mieszkanie nie może przypominać carskiego pałacu. Masz ochotę na chłódnik?

Nastia usiadła przy stole w kuchni i z ulgą wyciągnęła nogi, które po całym dniu były ciężkie i spuchnięte.

– Mam – wycodziła błogo. – Zimny chłódnik w taką pogodę to szczyt marzeń. Losza, jak sądzisz, czy w tym roku powtórzy się zeszłoroczne okropieństwo, to znaczy upał?

– Wszystko na to wskazuje. – Aleksiej kiwnął głową. – Synoptycy zapowiadają ponad trzydzieści stopni w przyszłym tygodniu. Aśka, czuję się winny, wszyscy normalni ludzie wyjeżdżają gdzieś nad morze albo na łono natury podczas urlopu, a ty przez moje cholerne honoraria będziesz musiała sterczeć w Moskwie. Ale gdy tylko wygrzebiemy się z tej historii z podatkami, przysięgam, że pojedziemy tam, gdzie są ciepłe morze, gorący piasek i chłodny wiatr. Wierzysz mi?

– Wierzę. – Nastia się uśmiechnęła. – Tylko kiedy to będzie? Tegoroczny urlop wykorzystamy teraz, a do następnego lata musimy jeszcze dożyć. Nie zapominaj też, że Pączek puścił mnie poza grafikiem, więc w następnym roku na pewno nie będę odpoczywać latem. Dlatego możesz składać dowolne obietnice, pora ich realizacji nadejdzie nieprędko. Może obiecasz mi brazylijski karnawał?

Aleksiej spojrzał na nią ze zdumieniem i odstawił pusty talerz.

– Chcesz pojechać do Brazylii na karnawał? Nie sądziłem, że moja żona jest kobietą z takimi pretensjami...

– Nie, na karnawał nie chcę, nie lubię hałaśliwego tłumu. Do Brazylii też nie chcę, za długo trzeba lecieć. Ale zapytać przecież można?

– Kto pyta, nie błądzi – odparł żartobliwie.

Po kolacji Nastia zajęła się studiowaniem kupionych słowników, czując radosny przedsmak pracy nad przekładem i delektując się myślą o zdecydowanej przewadze urlopu, która pozwala nie zrywać się na dźwięk budzika o wpół do siódmej rano. Szybko się jednak rozczarowała. Telefon od redaktora z wydawnictwa pozbawił ją dobrej połowy sielankowych iluzji.

– Bardzo mi przykro, ale w ciągu najbliższych dwóch miesięcy nie będziemy potrzebować tłumaczy. Wszystkie książki zostały już rozdysponowane. Chyba że jesienią...

– Nie, urlop mam teraz. Dziękuję i przepraszam za kłopot.

Nastia odwiesiła słuchawkę i utkwiała markotny wzrok w niepotrzebnym już słowniku.

– Sama jestem sobie winna – oznajmiła ponuro Aleksiejowi. – Takie prace planuje się z wyprzedzeniem, powinienam była już w marcu się umówić.

– Ale przecież nie miałaś pewności, że naczelnik cię puści. – Czistiakow zaczął ją pocieszać. – A zresztą w marcu jeszcze wierzyliśmy, że zbierzemy pieniądze. Nie rób sobie wyrzutów, Asieńko, jakoś sobie poradzimy. Za to wyśpisz się do woli i odpoczniesz.

Nastia zatrasnęła słownik i stanowczo potrząsnęła głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Jesteśmy rodziną czy sąsiadami z komunałki? Ja też będę dawać korepetycje, w końcu od czego znajomość pięciu języków? Poniewierają się tylko w głowie i obrastają kurzem.

– Czemu nie? – Mąż się ożywił. – Świetny pomysł.